



Królowa Bona z pogardą patrzy na romans królewskiego syna z Barbarą. (Bona — Halina Gryglaszewska, Barbara — Barbara Guzińska i Zygmunt August — Krzysztof Wojciechowski). Foto: St. Kosmalewski

# NIEWINNOŚĆ BARBARY

STANISŁAW BUBIN

**P**o obejrzeniu „Barbary Radziwiłłówny” Alojzego Felińskiego w Teatrze Polskim w Bielsku (premiera jubileuszowa, na 100-lecie sceny) widz na biera przekonania, że ci wszyscy, którzy o ukochanej małżonce ostatniego z Jagiellonów źle mówili, po prostu nie mieli racji. Barbara w wykonaniu młodziutkiej Barbary Guzińskiej (jej pierwsza, wielka rola główna) jest czysta, jasna, niewinna. Prawie anioł. Wrażenie to wzmacnia dodatkowo reflektor punktowy, nakierowany na jej białą suknię.

Reżyser przedstawienia, Halina Gryglaszewska, profesor krakowskiej PWST, uczyniła z Litwinki niemalże bohaterkę narodową, wbrew oczywistym świadectwom epoki, które lokowały Radziwiłłównę w gronie nierządnic, w dodatku rozsiewających chorobę francuską (syfilis, jak zresztą stwierdzili naukowcy, był przyczyną jej przedwczesnej śmierci). Czy za tem słuszne było ponowne powielenie legendy z czasów Zygmunto-wskich?

Halina Gryglaszewska, która (jak zawsze znakomicie) zaprezentowała się w roli królowej Bony, poprowadziła spektakl na dwóch płaszczyznach: polityki i miłości. Ta pierwsza, to aktualny do dziś, w niektórych momentach nawet aluzyjny dyskurs o tym, co leży, a co nie leży w interesie państwa. Druga płaszczyzna, to roman-tycznie zarysowane uczucie Zygmunta Augusta do dwudziestoparoletniej kobiety. Uczucie gwałtowne, zaborcze i ślepe. Wprawdzie Barbara jest bohaterką tytułową, ale w rzeczywistości najważniejszą osobą tragedii jest król, sugestywnie, wyraziście zagrany przez Krzysztofa J. Wojciechowskiego. To on jest łącznikiem pomiędzy światem polityki i miłości, to o nim szepczą marszałkowie i dworzanie, to on poddawany jest naciskom, by wyrzucił ze swojego życia i serca osobę niekrólewskiego pochodzenia. W gruncie rzeczy dla wymowy ideowej spektaklu jest sprawa obojętna, czy Barbara prowadziła się przykładnie, czy też nie.

Wszystkie postaci widzimy w ciągu dwudziestu czterech godzin w murach Wawelu. Sprawdzanie, czy ich zachowania były zgodne z prawdą historyczną, nie ma sensu. W tym krótkim, pełnym napięć dniu widzimy Barbarę i Zygmunta — zakochaną parę, której miłość zagraża interesom Rzeczypospolitej, a prawdę mówiąc — interesom kilku możnowładców, wiążących z rodem Jagiellonów własne plany.

Rozumiemy tę miłość, ale rozumiemy też troskę dworu o przyszłość państwa: czy cho-ra kobieta może dać królowi potomka (nie dała, dynastia wygasła), czy nie zhańbi królewskiego rodu (puszczała się już bowiem jako żona wojewody nowogródzkiego), czy wreszcie nie zaabsorbuje go do tego stopnia, że opuści się w rządzienu Koroną i Litwą? Przełożenie tych pytań i wątpliwości na obecne warunki (a tego zabiegu może dokonać każdy) powoduje, że nieoczekiwanie przedstawienie nabiera żywych rumieńców i wcale nie pachnie ramotą z czasów Oświeceni-a, jak się niektórzy spodziewali.

Nic dziwnego, że czołowi wykonawcy, Barbara Guzińska, Halina Gryglaszewska i Krzysztof J. Wojciechowski, otrzymali w trakcie spektaklu brawa, a na koniec owację na stojąco. Oklaski należały się również Kazimierzowi Czapli (hetman Tarnowski), Jerzemu Dziedzicowi (marszałek Kmita), Stanisławowi Kosmalewskiemu (Boratyński), a także mniej widocznej Jadwidze Grygierczyk (Izabella).

Pomysłowa była również od-słona, dokonana przez Ireneusza Ogrodzińskiego (Dworzani-ni) w oszczędnej scenografii Jerzego Jeleńskiego, nawiązującej do zabytkowych konterfektów.

Specjalnie do tego przedstawienia muzykę skomponował przebywający od paru lat w Kolonii Krzysztof Meyer. Zaczyny wiek swego istnienia teatr bielski uczcił więc godnie, nie koturnowo i nie patetycznie. Na nowo odczytana „Barbara Radziwiłłówna” wpisana została w rząd wielkich polskich dramatów, niewątpliwie godnych obywatelskiej i rządowej